

Młeczarka

16 czerwca 2017

Na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, przedmieście wypełniało przestrzeń między miastem a wsią, gdzie uprzednio sprzedawszy swoje małe gospodarstwa osiedlali się ludzie, by w wielkim mieście szukać lepszego życia. Przybysze przyzwyczajeni do ciężkiej roboty, łatwo znajdowali zatrudnienie, pracy było w bród. Mieszkali w małych, ubogich chałupkach bez kanalizacji, wodociągów i innych wygód, przeważnie traktując swoje locum tymczasowo. Państwo budowało coraz więcej bloków spółdzielczych i z czasem niektórzy wyprowadzali się do nowych osiedli, inni rozpoczynali budowę większych i ładniejszych domków.

Cisza tu była i spokój. Czasem zaszczekał pies, zazgrzytał łańcuch podczas wyciągania wody ze studni.

To dopiero była woda! Praktycznie każdy miał swoją krynice na podwórku, po którym chodziło stado kur pod pieczę koguta obwieszczającego co rano pieniem, że oto zaczął się nowy dzień i czas już do roboty.

Ponieważ występowały trudności z zaopatrzeniem w mięso, ludzie hodowali na własny użytek gęsi, króliki, czasem wieprzka w chlewiku. Nad całością dobytku czuwał jakiś Misiek czy Burek, zwykły kundel, który wystarczał do pilnowania obejścia. Były to jeszcze czasy, kiedy drzwi nie zamykało się na klucz, najwyżej skrzypiącą furtkę na patyk.

Nie żyło się łatwo, ale było to życie szczęśliwe.

Ludzie szanowali się wzajemnie, odwiedzali, plotkowali, ale przede wszystkim zawsze można było liczyć na sąsiedzką pomoc i życzliwość.

Na takim typowym przedmieściu, w drewnianej chatce obitej papą mieszkała pani Genowefa. Nie była osobą młodą, ale energii i

chęci do życia zazdrościli jej wszyscy. Żyła z marnej renty po mężu i aby związać koniec z końcem uprawiała na przydomowej działce truskawki, które były najpiękniejsze w okolicy: soczyste, czyściutkie i z dala połyskujące w czerwcowym słońcu wszelkimi odmianami czerwieni. A cóż to był za smak, jaki zapach, jaka słodycz!

Tak doskonałe efekty pani Genia osiągała dzięki pracowitej pielęgnacji roślin i obfitemu nawożeniu obornikiem. Miała go pod dostatkiem, bowiem hodowała trzy krówki. Wypasała je w starych, opuszczonych ogrodach i na nieużytkach, których w okolicy nie brakowało. Krowy były czyste, zadbane, na bokach nie wystawały im żebra. Nieczęsto widać tak dobrze utrzymane zwierzęta, toteż sownie wynagradzały swoją opiekunkę dużą ilością mleka.

Pani Genowefa sama robiła znakomite sery, doskonałe masło, a nadwyżki mleka sprzedawała okolicznym mieszkańcom. Niektórzy brzdąkając bańkami przyjeżdżali rowerami z daleka, bo mleczarkę znano z wyjątkowej czystości. Ludzie widzieli jak Genia zawsze przed udojem myje ręce, a krowom wymiona. Gospodarze z pobliskiej wsi pukali się na jej widok w czoło, ale oni dostarczali mleko do zlewni.

Lubili Genię wszyscy, bo okolicznym dzieciakom rozdawała truskawki, orzechy z drzewa rosnącego na podwórku, a i nie zawsze chciała brać pieniądze za mleko od sąsiadów i ludzi biedniejszych.

Mleczarka była kobietą bezdzietną i samotną. Mąż zginął w wypadku przy pracy na kolei. Z krewnymi nie utrzymywała kontaktów, bo jak mówiła: „to same dochtory i dyrektory”. Wstydzili się tej prostej kobiety. Czasem odzywał się jej brat, Stefan, który po wojnie nie wrócił do kraju i na stałe osiadł w Kanadzie. Jednak listy zza oceanu przychodziły rzadko, częściej kartki ze świątecznymi życzeniami. Bywało, że w kopercie znajdowała dolara.

Którejś zimy zdziwiła się grubym listem , jaki otrzymała z Toronto. Były w nim zdjęcia całej kanadyjskiej rodziny. Po raz pierwszy zobaczyła, jak wygląda bratowa, też Polka, bratanica i bratanek. Ponadto Stefan zawiadamiał Genię o swoim przyjeździe do Polski wraz z całą rodziną w nadchodzące lato.

Od tej pory listy przychodziły często, a w każdym miłe słowa i dolarowe banknoty. Dostała nawet wielką paczkę, a w niej pełno używanych ubrań, kakao, kawę i czekoladę.

Bez namysłu wszystko oddała Zielińskim, którzy stanowili wielodzietną rodzinę, bo w zasadzie ciuchy były młodzieżowe i nic na nią nie pasowało. Właśnie tym sąsiadom pomagała najbardziej, bo bieda u nich aż piszczała. Każde kolejne dziecko, które przychodziło na świat, było karmione darmowym mlekiem krów pani Genowefy.

Właściwie wszyscy sąsiedzi mleczarki zaangażowali się w przyjęcie jej brata z rodziną. Tuż przed przyjazdem gości z Kanady wszyscy wysprzątaali swoje obejścia. Niektórzy pomalowali nawet parkany i okna. Pan Zieliński zbudował za obórką mleczarki nową wygodkę z heblowanych desek, umieszczając tam prawdziwą deskę sedesową.

Teraz z wdzięczności za dobre serce pani Geni, zabił świniaka i uwędził szynki. Jego żona robiła wyśmienite kiełbasy, kaszanki i salcesony. Inny sąsiad, który budował nowy dom, przygotował specjalnie jedną izbę na przyjęcie gości, bo u mleczarki nie było miejsca na nocleg dla tylu osób.

Przyjęcie odbyło się niemal królewskie. Wszyscy zajadali się wspaniałymi wędlinami i ... doskonałym polskim chlebem. Bardzo smakowały ciasta i nabiał zrobiony przez gospodynię.

Tylko bratowa kręciła na wszystko nosem, mówiąc że u nich w Kanadzie wszystko jest lepsze, ładniejsze itp.

– Co to za kraj, w którym truskawki są tylko przez miesiąc. U nas, w Kanadzie, te wszystkie owoce są cały rok – mówiła.

Najbardziej nie odpowiadało jej załatwianie swoich potrzeb w sławojce, bo w Toronto ma piękny dom z wszystkimi wygodami. Byłą kobietą o bardzo obfitych kształtach i przyczyna jej niezadowolenia tkwiła raczej w fakcie, że ledwo mieściła się w wychodku.

Panią Genowefę dziwiło trochę, że jej bratowa prawie zapomniała polskiej mowy, a dzieci zupełnie słabo mówiły po polsku.

Po trzech dniach całe towarzystwo wyjechało zwiedzić Kraków, Zakopane i Częstochowę. Odwiedzili też innych krewnych rozsianych po Polsce, wszędzie przyjmowani gościnnie, chociaż „dochtory i dyrektory” nie byli aż tak wylewni, jak pani Genia.

Przed powrotem do Kanady, jeszcze tydzień spędzili u mleczarki, bo Stefan mówił, że Genia jest mu najbliższa. Ona zaś wydała wszystkie swoje oszczędności, a i zapożyczyła się, gdzie tylko mogła.

Na pożegnalnej kolacji brat wygłosił przemówienie:

– U was, w Polsce, jest very good – wszystko można kupić za psie pieniądze. W Kanadzie trzeba ciężko tyrać i oszczędzać, ale Polską rządzą komuniści. Ludzie nie mają żadnych praw i perspektyw na przyszłość, dlatego każdy, kto ma trochę rozumu powinien stąd wiać. Ja ci siostró daję tę możliwość, przyjedź do nas. Co ty, Geniu, będziesz siedziała na stare lata w tym slumsie, u nas będzie ci lepiej. Rodzina to rodzina, zawsze jest na kogo liczyć w potrzebie. Tu, kiedy będziesz zupełnie stara i zachorujesz, to kto ci poda talerz zupy?

Zaproszenie przyszło wraz z życzeniami przed Świątami Bożego Narodzenia. Jednak mleczarka wahała się z decyzją wyjazdu. Co prawda złożyła podanie o paszport i ku wielkiemu zdziwieniu go otrzymała, ale bała się, miała złe przeczucia. Jakoś dziwnie mówili o tej Kanadzie. Brat mówił tak, bratowa inaczej, dzieciaki jeszcze co innego. Z drugiej strony zazdrozczono

jej takiej możliwości i sąsiedzi, i listonosz, i wszyscy co przychodzili po mleko. Każdy namawiał ją do tego wyjazdu.

Decyzję podjęła jednej nieprzespanej nocy. Lato tego roku było bardzo mokre. Truskawki nie obrodziły, a najgorsze to, że nie miała paszy dla krów na zimę. Mogła ją oczywiście kupić, ale ceny były tak wysokie, że musiałaby sprzedać jedną krowę, aby dwie pozostałe miały co jeść do wiosny. Poza tym ciągle padające deszcze ujawniły przecieki dachu w wielu miejscach. Okazało się, że wymiana papy nie wystarczy, bo deski zbutwiały i należy przeprowadzić solidny remont.

Pani Genowefa załatwiła w jeden dzień kanadyjską wizę, co uznała za dobry znak. Sprzedała wszystkie krowy gospodarzowi dbającemu o inwentarz i kupiła bilet na transatlantyk „Stefan Batory”. Działki z domkiem nie sprzedała, chociaż kupiec znalazł się nie wiadomo skąd i dawał dobrą cenę. Najbliższym sąsiadom obiecała pisać i pożegnano ją serdecznie, ze łzami w oczach. Do Gdyni odwiózł mleczarkę znajomy taksówkarz, którego żona od wielu lat brała mleko od pani Genowefy.

– Oj będzie nam pani brakowało, pani Geniu kochana – szczerze wyznał i nie chciał wziąć pieniędzy za kurs, chociaż jego stara warszawa potrzebowała sporych nakładów, aby mogła dalej sprawnie jeździć. Targując się i przekomarzając wziął jedynie za benzynę.

Mijały miesiące. Pani Genowefa miała pisać, a nie przysłała nawet kartki. Najpierw dziwiło to znajomych, bo mleczarka była słowna, ale gdzieś po roku na pytanie o list, listonosz powiedział: – E tam, każdy obiecuje, że będzie pisał. Ona ma już nowych, kanadyjskich znajomych. Kto by tam sobie zajmował głowę takimi biedakami, jak my.

To było przykre, bardzo przykre.- Tyle lat dzieliliśmy razem swoje radości i smutki, byliśmy tacy zżyci, a tu patrzcie, jak się babie w głowie przewróciło – mówili Zielińscy.

Czas mijał. Poletko z truskawkami rozjeździły buldożery, bo

ustawiano słupy wysokiego napięcia, połamaly płot. Studnia całkiem wyschła, zresztą nie tylko u mleczarki. Wszędzie obniżył się poziom wody gruntowej i trzeba było studnie wiercić. Dach domku wygiął się najpierw, a później, w czasie śnieżnej zimy, całkiem zawalił. Podwórko zarosło łopianami, pokrzywami, a obórkę ktoś rozebrał na opał.

Któregoś wiosennego dnia pani Zielińska wyszła przed dom powiesić na sznurkach bieliznę i zatrzymała się z pełną miednicą w progu. Obok ruiny domku, z walizeczką w ręku stała elegancko ubrana, stara kobieta. Coś tknęło gospodynię, ale przecież to nie pani Genia, pomyślała. Mleczarka była przecież wyższa, tęższa, a tu stoi przygarbiona, wysuszona i siwa jak gołąbek staruszka. To niemożliwe, aby przez dwa i pół roku tak się zmienić.

– Halo, pani kogoś może szuka? – zapytała dość szorstko, ale z nadzieją w głosie sąsiadka.

Postawiła miednicę i podeszła bliżej. Stara kobieta uśmiechnęła się smutno i jakby zawstydzona, zmieszana zaczęła: ja..., ja... i dalej głos ugrzązł jej w gardle.

– Pani Geniu kochana!

Kobiety uściskały się serdecznie i Zielińska biorąc od staruszki walizkę wciągnęła ją do swojego domu.

Przeżycia pani Genowefy w Kanadzie mogły stanowić kanwę powieści literackiej, ale ona nie była zbyt rozmowna. Opowiadała wszystko w skrócie, zażenowana, jakby chciała pewne sprawy zachować tylko dla siebie.

Podróż na „Stefanie Batorym” miała przepiękną. Co prawda na początku wstydziła się swojego skromnego, niemodnego ubioru, szorstkich, spracowanych rąk, ale spotkała ludzi podobnych do siebie i było przyjemnie. Brat czekał na Genię w Montrealu i przywiózł ją samochodem do Toronto.

Przez trzy pierwsze dni rodzina woziła krewną z Polski po mieście, pokazywała miejsca godne zwiedzenia. Na początku uległa fascynacji ogromną ilością i wielkością sklepów z przytłaczającą ilością towarów. Tu nagle zdała sobie sprawę, jak małą i kruchą istotą jest ona, zwykła mleczarka z Polski wobec tego bogactwa, wśród wielkich budowli ze szkła i aluminium, które przyprawiały ją o zawrót głowy. Oglądała to wszystko z otwartymi ustami, ale zauroczenie zaczęło szybko mijać.

Te piękne, olbrzymie budynki były jakieś obce, wiało od nich zimnem. Jeszcze gorsze wrażenie zrobili na niej ludzie mówiący niezrozumiałym językiem, zaganiani i obojętni na wszystko co nie nazywało się dolar. To on jest głównym motorem ludzkiego działania, mrówczego ruchu, nieustannego pędu. Zdawałoby się, że dolar pobudza tam bicie serc i podtrzymuje oddychanie.

Po trzech dniach sielanka się skończyła i Genia znalazła się w barze brata, gdzie jako pomoc kuchenna pracowała od rana do wieczora. Nie miała czasu nawet odmówić różańca, który zabrała ze sobą. Tylko w niedzielę mogła pójść do kościoła. Do baru przychodzili ludzie różnych ras i narodowości. Młodzi byli butni, hałaśliwi, niektórzy ubrani cudacznie, jak małpy z cyrku i nie okazywali szacunku nikomu, a przede wszystkim ludziom starszym. Pani Genowefa bała się ich. Bała się również na ulicy, gdzie napady, rabunki, pobicia, a nawet zabójstwa stanowiły codzienność. Oprócz niewyobrażalnego przepychu i bogactwa zobaczyła też nędzę. Oto Kanada, o której nikt nie mówił – ludzi głodnych, bezdomnych, ubranych w to, co znaleźli. Owszem, czasem czytała w gazecie, że w USA są tacy, którzy odżywiają się resztkami znalezionymi w śmietniku, a w czasie zimy sprząta się z ulic zwłoki zamarznętych biedaków. Nie myślała jednak, że to również zdarza się w Kanadzie. Zresztą w Polsce w takie doniesienia absolutnie nikt nie wierzył. Polska była biedna, ale w całym kraju nikt nie był głodny i nie było nawet jednej osoby bezdomnej. Każdy miał pracę. Trudno było o eleganckie ubrania czy buty, ale

smacznego i zdrowego jedzenia było w bród.

Szybko zaczęła tęsknić za Polską. Zatęskniła za dobrą, kochaną Ojczyzną, w której żyje się wśród swoich. Być może wśród ludzi niezgodnych, ale współczujących i zawsze gotowych pomóc w nieszczęściu.

Któregoś dnia została w barze sama, brat musiał wyjść na pół godziny. Trzech siedzących w lokalu zbirów przestało jeść, rzucili się na panią Genię i nożem ranili w rękę. Zabrali wszystkie pieniądze z kasy. Ranna wybiegła za nimi na ulicę. Akurat przejeżdżał radiowóz. Policjanci nie rozumieli co krzyczy brocząca krwią kobieta, ale szybko ruszyli we wskazanym przez nią kierunku. Panią Genowefę zabrał ambulans do szpitala, gdzie ranę zszyto i opatrzono. Policja nie znalazła sprawców napadu, ale ustaliła, że Stefan zatrudnia siostrę bez odpowiedniego zezwolenia.

Powracając Genię za szpitala przywitano karczemną awanturą. Rzekomo trzeba było zapłacić jakąś karę, rachunek za pomoc medyczną, no a w kasie to już był majątek. Okazało się, że za kilka miesięcy przepracowanych u brata nic jej się nie należy, jest nawet zadłużona. Mimo iż miała przedłużoną wizę, u Stefana nie chciała już pozostać. Na powrót do Polski rodzina pieniędzy odmówiła, a atmosfera w domu stała się na tyle nieznośna, że spakowała swoją walizkę i żegnana ponurym milczeniem wyszła wprost na ulicę.

Przez kilka miesięcy pobytu w Toronto poznała kilkoro Polaków. To oni pomogli jej znaleźć pracę. Tułała się po obcych ludziach, jako sprzątaczką, praczką, służącą, wszędzie wykorzystywana do granic możliwości, coraz bardziej zżerana bezgraniczną nostalgią. Wreszcie uciułała na powrót do Ojczyzny i trochę grosza, aby rozpocząć życie od nowa.

Przez pierwsze tygodnie rozkoszowała się Polską, odpoczywała. Sąsiad, który użyczył izby jej kanadyjskiej rodzinie, teraz za niewielką opłatą przygarnął starą kobietę do siebie. Zostało

mu trochę materiałów budowlanych, o które było wtedy trudno, wynajął fachowców i szybko odbudowano domek pani Genowefy.

Kiedy była już na swoim, kupiła sobie jałówkę. Ale nic nie było już jak dawniej. Przedmieście coraz bardziej stawało się miastem, a mleczarka zamknęła się w sobie i zdziwaczała. Coraz dalej musiała chodzić paść swoją krówkę, do której cały dzień czule przemawiała. Coraz więcej przybywało domów i nowych ludzi, którzy nie znali tej starej kobiety. Uważali ją za wariatkę, bo przecież nikt normalny nie przemawia do bydłęcia, jak do bliskiego człowieka. Wkrótce zresztą odeszła z tego świata, cicho, tak jak żyła.

W miejscach, w których pani Genia wypasała swoje krowy, stoją dziś wille o pięknej architekturze. Oto rezydencja byłego prezesa rozkradzionego banku, och, pardon, banku udzielającego „złych kredytów”. Zieleń trawnika i czerwień dachówki doskonale kontrastują z białą tynków. Całość ogrodzona parkanem z kutego żelaza, wzdłuż którego biega sfora groźnie szczerzących kły, rasowych psów. Domofon, kraty, przemysłne zamki, system alarmowy.

W „shopie” po drugiej stronie ulicy skromnie ubrany emeryt kupił kawałek chudego sera i chleb. To jeszcze żyjący pan Zieliński. Na przejściu dla pieszych udało mu się umknąć przed pędzącą asfaltem limuzyną.

Na rogu ulicy stoi grupka młodych, znudzonych, agresywnych. Ich żujące gęby wyglądają bezmyślnie i cynicznie. Jeden z nich wypłuwa gumę na starego człowieka, reszta się śmieje. To jeszcze nic, bo wieczorem tak jak w Chicago czy Toronto, można dostać od nich kijem bejsbolowym. Musi być stylowo, po amerykańsku, modnie, nowocześnie, strasznie. Chociaż kombinatorzy, cwaniacy i złodzieje bogacą się szybko, a ludzie uczciwi popadają w nędzę, to amerykanizacja przebiega sprawnie. – Witaj Kanado!

Autorstwo: Cezary Piotr Tarkowski

Źródło: Patriota-Tarkowski.blogspot.com